

W POSZUKIWANIU
— BOGA —

NIE TYLKO DLA CHORYCH

LEON KNABIT OSB



W POSZUKIWANIU
— BOGA —

NIE TYLKO DLA CHORYCH



TYNIEC
WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Projekt okładki:

Jacek Zelek

Zdjęcie na pierwszej stronie okładki:

Archiwum Opactwa Benedyktynów w Tyńcu

Zdjęcie na ostatniej stronie okładki:

Katolickie Stowarzyszenie Pielęgniarek i Położnych Polskich

Redakcja:

Justyna Jagódka

Serdeczne podziękowania dla Ewy Szymańskiej,
oblatki tynieckiej za przepisanie rekolekcji ojca Leona Knabita
i pomoc w powstaniu niniejszej publikacji.

Superiorum permissu: Opactwo Benedyktynów

L.dz. 4/2023, Tyniec, dnia 11.01.2023

† o. Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie pierwsze: Kraków 2023

ISBN 978-83-7354-754-4

© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów

ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków

tel. +48 534 037 299; +48 (12) 688-52-95

e-mail: zamowienia@tyniec.com.pl

www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa:

Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów

druk@tyniec.com.pl

SPIS TREŚCI

Wstęp7
Rekolekcje. Trzebinia 1979 r.	11
Homilia11
Konferencja I28
Konferencja II.41
Konferencja III61
Konferencja IV76
Konferencja V.88
Rekolekcje. Trzebinia 1980 r.103
Homilia I	103
Homilia II	106
Konferencja I	118
Konferencja II.	128
Konferencja III	156
Homilia III	169
Konferencja IV	182
Homilia IV	197
Rekolekcje. Trzebinia 1981 r.213
Konferencja I	213
Konferencja II.	222
Konferencja III	236
Homilia I	251

Konferencja IV	264
Wprowadzenie do sakramentu namaszczenia chorych	279
Konferencja V.	285
Homilia II	294
Rekolekcje. Trzebinia 1982 r.	307
Konferencja I	307
Konferencja II.	344
Konferencja III	380
Konferencja IV	392

WSTĘP

Starożytni Grecy umieścili na fasadzie świątyni Apollina w Delfach napis: *gnothi seauton* – „poznaj samego siebie”. To zdanie, aktualne do dzisiaj, powtarzane jest często przez psychologów i psychoterapeutów jako rada w rozwiązywaniu rozmaitych problemów osobowościowych. Nie przypuszczali nasi przodkowie, że zdanie to nabierze pełnego sensu, gdy na ziemię przyjdzie Bóg Wcielony, Człowiek, Jezus Chrystus. Święty Jan Paweł II powie potem: „Człowieka nie można zrozumieć bez Chrystusa!”. Ludzie nie mają zbyt wiele czasu na poznawanie siebie. Nie znają siebie i nie znają innych – nawet tych z bliskiego otoczenia. Jednak każdy, biedny czy bogaty, zapracowany czy używający świata do woli, zdrowy czy chory, musi się zmierzyć kiedyś z pytaniami: Po co ja żyję? Po co jest dobro i zło? Jaki jest sens tego wszystkiego? I każdy prędzej czy później poczuje potrzebę zatrzymania się na chwilę, jak przy czerwonym świetle, nawet gdy się bardzo śpieszy – jak mówi pewna znana piosenka: „Zatrzymaj się na chwilę i pomyśl, po co żyjesz”.

Na całym świecie ludzie myślący, którzy chcą dopomóc innym w zastanowieniu się nad sobą, organizują różne spotkania, kursy, warsztaty lub choćby strefy ciszy dla tych wszystkich, którzy mają już dość pośpiesznego życia. Kościół ofiarowuje rekolekcje. Te zwyczajne, dla ogółu wiernych, w Adwencie czy Wielkim Poście oraz stanowe: dla nauczycieli, prawników, artystów, księży, zakonnic, pracowników Kurii Rzymskiej (tak!), parlamentarzystów, młodzieży i innych grup... Nie zapomniano także i o chorych. Już przed wojną nadawano dla nich audycje radiowe prowadzone przez ks. Michała Rękasa. W kolejnych latach, zwłaszcza w ostatnim czasie, pomagano chorym wejść głębiej w życie świata – a w tym i w życie religijne – poprzez radio, telewizję i Internet.

Zaraz po wojnie sytuacja była bardzo trudna: było wielu chorych i niepełnosprawnych, samotnych, zaniedbanych, przebywających w dramatycznych nieraz warunkach. W Krakowie znalazł się dla nich ratunek. Błogosławiona już dzisiaj Hanna Chrzanowska, córka wybitnego profesora Ignacego Chrzanowskiego, była pielęgniarką z powołania. W każdym chorym widziała człowieka, któremu trzeba pomóc. W miarę jak zbliżała się do Boga – w czym pomógł jej kontakt z opactwem tynieckim,

którego oblatką została – coraz bardziej widzia-
ła w chorym Chrystusa. Władze komunistyczne
utrudniały jej pracę w publicznej służbie zdrowia
ze względu na jej „przednaukowe myślenie”. Nie
zerwała jednak z opieką zdrowotną i poświęciła
się przede wszystkim pielęgniarstwu domowemu
i parafialnemu. Sama nie lękała się najtrudniej-
szych „przypadków” i wciągała do tej pracy in-
nych, zwłaszcza siostry zakonne i młodzież z dusz-
pasterstw akademickich. W tej służbie wspierał ją,
także materialnie, Kościół. Ks. Ferdynand Machay,
infułat z kościoła mariackiego, i ks. Karol Wojtyła,
który z biegiem czasu jako ordynariusz krakowski
miał większe możliwości, zostali wprost zarażeni
problemem chorych. Do nich dołączyło wielu in-
nych księży. Hanna Chrzanowska uważała, że cho-
dzenie do chorych i niepełnosprawnych to jeszcze
nie wszystko. Chciała wyciągnąć ich z mieszkań,
komórek, nor, w których przebywali, i umożli-
wić im pełniejsze spojrzenie na świat, na siebie i na
Boga. W tym celu zapoczątkowała rekolekcje wy-
jazdowe dla chorych; nie było to łatwe. Znalezienie
miejsca, rekolekcjonisty, obsługi lekarskiej i pie-
lęgniarskiej oraz wolontariuszy i zorganizowanie
transportu przekraczało, wydawać by się mogło,
możliwości jednego człowieka. Pani Hanna pora-

dziła sobie ze wszystkim. Najpierw, w początkach lat 60., rozpoczęły się u gościnnych księży salwatorianów w ich domu rekolekcyjnym w Trzebini rekolekcje dla chorych i niepełnosprawnych. Cztery kilkudniowe turnusy każdego roku. Do prowadzenia takich rekolekcji poproszono i mnie. Wygłoszone nauki spisano, a Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów uznało, że po przeszło pół wieku treść może być przydatna i chorym, i zdrowym. Ocenę pozostawiam Czytelniczkom/Czytelnikom.

Dzisiaj, kiedy jestem już w dziewięćdziesiątym czwartym roku życia i wózek inwalidzki jest moją codziennością, polecam Błogosławionej Hannie wszystkich, którzy aktualnie dotknięci są rozmaitymi cierpieniami, by cieszyli się współczuciem i zrozumieniem tych, którzy się nimi opiekują, oraz instytucji opieki społecznej. Ufam, że jej wstawiennictwo ulży doli wielu cierpiących, a ją samą ujrzemy według wyroków Boga Miłosiernego w chwale świętych.

Leon Knabit OSB, mnich tyniecki
Kraków-Tyniec, dnia 28 kwietnia roku
Pańskiego 2023, w dniu wspomnienia
Błogosławionej Hanny Chrzanowskiej,
pielęgniarki, oblatki tynieckiej.

REKOLEKCJE. TRZEBINIA 1979 R.

HOMILIA

[W czasie ostatniej wieczerzy] Jezus, podniósłszy oczy ku niebu, rzekł: «Ojcze, nadeszła godzina. Otocz swego Syna chwałą, aby Syn Ciebie nią otoczył i aby mocą władzy udzielonej Mu przez Ciebie nad każdym człowiekiem dał życie wieczne wszystkim tym, których Mu dałeś. A to jest życie wieczne: aby znali Ciebie, jedynego prawdziwego Boga, oraz Tego, którego posłałeś, Jezusa Chrystusa. Ja Ciebie otoczyłem chwałą na ziemi przez to, że wypełniłem dzieło, które Mi dałeś do wykonania. A teraz Ty, Ojcze, otocz Mnie u siebie tą chwałą, którą miałem u Ciebie wpierw, zanim świat powstał. Objawiłem imię Twoje ludziom, których Mi dałeś ze świata. Twoimi byli i Ty Mi ich dałeś, a oni zachowali słowo Twoje. Teraz poznali, że wszystko, cokolwiek Mi dałeś, pochodzi od Ciebie. Słowa bowiem, które Mi powierzyłeś, im przekazałem, a oni je przyjęli i prawdziwie po-

znali, że od Ciebie wyszedłem, oraz uwierzyli, że Ty Mnie posłałeś. Ja za nimi proszę, nie proszę za światem, ale za tymi, których Mi dałeś, ponieważ są Twoimi. Wszystko bowiem moje jest Twoje, a Twoje jest moje, i w nich zostałem otoczony chwałą. Już nie jestem na świecie, ale oni są jeszcze na świecie, a Ja idę do Ciebie» (J 17,1–11).

Chrystusowi Panu bardzo zależy na tym, abyśmy znali Jego samego i znali Ojca. W tym jest chwała Boża, że Bóg jest poznany przez człowieka. Patrzymy na drogi, którymi to poznanie do nas dochodzi. Wiemy, że zanim my sami zdążymy pomyśleć, poczuć i zrozumieć – po ludzku, już dochodzi do nas Pan Bóg ze swoją łaską w chrzcie świętym. Później ta łaska chrzcielna jest przez rodziców czy najbliższe otoczenie jak gdyby uaktywniana przez mówienie o tym, co w człowieku się dzieje, że jest człowiekiem nie tylko według ciała, ale również według ducha, że w nim jest coś więcej niż tylko materia, że to, co widzi naokoło, i osoby, z którymi się spotyka, to jeszcze nie jest wszystko, że istnieją rzeczy, których nie widzi, i osoby, z którymi się fizycznie nie spotyka, że jest Bóg, że są aniołowie i święci, którzy już przebywają w niebie. Poszerza się krąg poznawania człowieka. Powoli, przede wszystkim od rodziców, ale i od dobrego

otoczenia, „promieniuje” na nas to, co jest nadprzyrodzone, to, co jest wielkie. Bóg staje się większy w naszych duszach przez poznanie Go, Bóg staje się większy poprzez nas w świecie. I my wszyscy, od najmłodszych do najstarszych, od zdrowych aż po najbardziej chorych, podlegaliśmy temu właśnie procesowi, od tego się zaczynało. Potem przychodziły rozmaite trudne sytuacje. Rzeczywistość nadprzyrodzona jest rzeczywistością piękną, teoria jest zawsze bardzo ładna, ale potem, kiedy wchodzimy w życie pełne i naszych wewnętrznych niedomagań, i rozmaitych trudnych sytuacji z zewnątrz – czy to w rodzinie, czy poza nią – to ta piękna teoria zaczyna nie wystarczać. Życie przynosi nam tak dużo zaprzeczenia wielkości, wspaniałości chwały Bożej, tak wiele rozczarowań, bólu i kłopotów, że chyba nie ma spośród nas nikogo, kto by nie przeżył w swojej duszy jakiegoś buntu, jakiejś niechęci, a przynajmniej jakiegoś zniecierpliwienia... Jak to jest: skoro wszystko tak mądrze zostało przez Boga pomyślane, skoro jest tak piękne i dobre, to dlaczego pojawia się tyle zgrzytów i tyle jakiegoś nieładu, i tyle nieporozumień? Borykamy się z tymi sprawami aż do dzisiaj.

Kiedy tutaj przebywamy – jesteśmy uradowani, nastawieni szeroko na Pana Boga, bardzo chęt-

ni ku temu, żeby serce swoje otworzyć, wchłaniać prawdę Bożą, poznawać to, co trudne, i szukać sposobów rozwiązywania tego, a jednocześnie wciąż szukamy Boga. Wszyscy, którzy tutaj jesteśmy, zwłaszcza ci nie w pełni sprawni, mamy jeszcze jeden sposób Jego poznawania. Sposób, który dla nas jest bardzo dotkliwy, bardzo nieprzyjemny, sposób, o którym trudno jest mówić i który trudno zachwalać nam, którzy jeszcze chodzimy i ruszamy kończynami, rękami, nogami i głową, choć niektórym nie przychodzi to tak łatwo. To, co dla nas osobiście jest pewnym obciążeniem, trudnością i kłopotem – bo czasem po prostu ze starości człowiek już sobie nie radzi ze swoim ciałem i duszę też ma słabszą, a niekiedy już w młodości zdarzył się jakiś wypadek, nagła choroba, która pozostawiła ciężki ślad – to jest często traktowane jako dopust Boży, wola Boża, tragiczny los, cierpienie i tak dalej. My jednak po to się między innymi w Trzebini gromadzimy, aby na to popatrzeć nie tylko od tej ciemnej strony, która oczywiście jest i której nie chcemy absolutnie sztucznie podświetlać, ale też od strony planu Bożego. Jeśli znamy Pana Boga poprzez chrzest, spowiedź, bierzmowanie, komunię świętą, jeśli znamy poprzez przykłady i naukę rozmaitych ludzi, to je-

śli cierpimy w taki sposób, jak Pan Bóg to ustawił w naszym życiu, to znamy Go właśnie jeszcze przez cierpienie.

Powtarzam, jest bardzo trudno to mówić i zachwalać ten sposób poznawania Pana Boga, ale zdaje mi się, że nikt z nas, nawet ci zdrowi, nie jest wolny od cierpienia. Może czasem mamy trochę mniej dolegliwości fizycznych, może nie są one tak dojmujące i tak utrudniające nam życie, ale są. Idealnie zdrowych ludzi nie ma dzisiaj na świecie. A jeśli chodzi o cierpienie duchowe, to doskonale sobie zdajemy sprawę, że nieraz właśnie ci poruszający się swobodnie szukają pociechy, otuchy i zrozumienia u tych, którzy nie mogą się poruszać. I dlatego mówię, że cierpienie jest jakimś sposobem poznania Pana Boga. Ten, kto nie cierpiał, nie poznał Boga do końca. Jezus Chrystus, chcąc przedstawić nam Ojca, nie ukazał nam Go wyłącznie w chwale przemienienia, w chwale uroczystego wkraczania do Jerozolimy, w chwale cudownego czynienia znaków, wskrzeszania zmarłych, uzdrawiania chorych i tak dalej, ale przedstawił nam Boga w cierpieniu, w niezrozumieniu, w odrzuceniu i w wielkim bólu fizycznym, którego szczytem była męka i śmierć na krzyżu. Dlatego św. Paweł takie ładne hasło postawił – znać Chrystusa,

i to Chrystusa Ukrzyżowanego (por. 1 Kor 2,2). Z tego też powodu obecny Papież, kiedy jeszcze jako arcybiskup i kardynał tutaj przyjeżdżał (a bywał chętnie, więc gdy miał czas, to chociaż na pół godziny wpadał), z wielkim przekonaniem i wielką wiarą, która go do dziś cechuje, mówił, że to wy nas uczycie Pana Boga, uczycie nas życia, uczycie nas patrzeć na świat jeszcze drugim okiem, bo my, zdrowi, tylko jednym okiem patrzymy na świat; że to wy nam, zdrowym, dajecie tutaj rekolekcje, bo dopiero w was Pan Bóg objawia się w pełni. I to mówił bardzo poważnie, nie po to, żeby psychologicznie podbudować chorych, żeby ich dowartościować. On sam też nie jest za mocny. A tutaj wiedział dokładnie, co mówi.

Choroba i zdrowie w człowieku, odniesione do Pana Boga, ludzie chorzy i ludzie zdrowi stanowią całą pełnię wyrazu człowieczeństwa, bo tak chciał Chrystus, tak było w Nim. To jest bardzo trudna mowa, ale wszyscy doskonale wiemy, że kiedy Chrystus wzywa, żebyśmy szli za Nim, nie mówi: „Chodźcie, a będzie wam dobrze”, lecz: „Weźcie krzyż swój na każdy dzień i idźcie za Mną” (por. Łk 9,23). „Jeśli będziecie szli mężnie poprzez drogę krzyża, to Ja wam gwarantuję, że razem ze Mną przejdziecie przez zmartwychwstanie. Jeżeli zaś bę-

dziecie odrzucać swój krzyż, buntować się czy zamieniać go lub zazdrościć tym, którzy mają inny, to wtedy zostaniecie sami”. Nie opłaca się „skórka za wyprawkę”. Jesteśmy w naszym cierpieniu niejako zapędzeni w ciasną uliczkę: albo zgodzić się i przyjąć, albo przegrać całkowicie.

Pamiętamy, że kiedy w zeszłym roku jedna z naszych uroczych sióstr odstawiła tutaj rozmaite wesołe kawałki, tak bardzo się śmialiśmy, że gdyby ktoś z boku to posłyszał, pomyślałby, iż to jakaś rozhukana gromada gimnazjalistów czy licealistów, którzy po dniu pełnym wycieczek i zabaw jeszcze mają wesoły wieczorek. Gdyby przyszli i popatrzeli, kto to tak ryczy ze śmiechu, to by nie uwierzyli. Bo dla takich ludzi, którzy o chorych wiedzą tylko ze słyszenia czy z telewizji, to każdy człowiek, który nie rusza ręką czy nogą lub siedzi na wózku, pasuje jedynie, żeby go do trumny włożyć... Tymczasem my się tutaj zataczaliśmy ze śmiechu, aż nam łzy płynęły, zapomnieliśmy na chwilę, że kiedykolwiek cierpieliśmy – i siostrę, i wszystkich innych podziwialiśmy z bardzo wielką radością. To nie była błazenada; doszliśmy do takiego stanu, że pomyśleliśmy sobie: „Cóż tam nasza choroba... Jeszcze tylko pięć, dziesięć czy dwadzieścia lat i się skończy... Będziemy fikać wszystkimi dzisiaj

unieruchomionymi kończynami... Pan Bóg na pewno to da, w to wierzymy, inaczej nie byłoby sensu”. Mnie to bardzo utkwilo w pamieci. I to, że ten śmiech wszystkich chorych to były dla mnie najlepsze rekolekcje. Pan Bóg potrafi tak zrobić, pokazać, że na moment – jak podczas przemienienia Pańskiego, kiedy wszystkie trudne sprawy Chrystusa poszły w cień i pokazał się On w pełni chwały – wszystkie smutki całego turnusu rekolekcyjnego poszły w cień i okazała się radość zwyczajna, dziecięca, niefrasobliwa, hałaśliwa... To jest jakaś zapowiedź tej radości głębszej, może nie tak hałaśliwej, płynącej nie tylko z tego powodu, że siostra przebrała się za Kaśkę czy Maryskę, ale że Bóg jest w nas, przebrany w nasze słabe ciała.

W tym roku dziewięćsetlecia śmierci św. Stanisława patrzymy też i na niego. Jego życie musiało być bardzo, bardzo trudne. Będziemy przyglądali się poszczególnym etapom jego życia. Niewiele o nim wiemy, niektórzy mieszają go nawet ze św. Stanisławem Kostką – ten Stanisław i ten Stanisław, więc nie bardzo wiadomo, który od czego. Ustawimy sobie trochę te rzeczy, oczywiście bardzo praktycznie, żeby to nam pomogło. Święty Stanisław to człowiek wielkiego cierpienia. Było mu na pewno bardzo przykro, że króla, z którym

od początku tak doskonale współpracował w odnawianiu Kościoła w Polsce, z którym zakładał biskupstwa, fundował klasztory, trzeba było napominać, a wreszcie – wyłączyć ze społeczności wiernych. Były tam prawdopodobnie też jakieś motywy polityczne, ale – na ile znamy Stanisława – to przede wszystkim chodziło mu o to, że król narażał swoją duszę. Jego obowiązkiem jako pasterza było upominać, chociaż mogło mu być bardzo przykro. Dlatego następcy św. Stanisława, razem z księdzem kardynałem Wojtyłą, upominali nawet rząd, nawet władze – wtedy, kiedy widzieli tam nieposzanowanie ładu moralnego, nieposzanowanie prawa Bożego, nieposzanowanie człowieka. To najpierw cierpienie duchowe, a potem zwyczajne, fizyczne, kiedy trzeba było ponieść śmierć męczeńską, ze wszystkimi jej konsekwencjami i na pewno ze strachem. Nie wiadomo, czy w tamtej chwili tak bardzo był mężny i tak bardzo cieszył się, że idzie do nieba... I najprawdopodobniej bolało go, i był przerażony tym, co się dzieje – i tak nastąpił jego koniec. Chwała jego największa okazuje się dopiero po śmierci. Mamy tu więc jeszcze jeden przykład człowieka cierpiącego, który przez dziewięćset lat nie może zejść ze sceny polskiej, wciąż się o nim pamięta.

Następny człowiek – według zrządzenia Pana Boga następca na stolicy św. Piotra, nasz Papież, nasz arcybiskup. Wydarzenie takie, dla którego warto było nawet urodzić się człowiekiem cierpiącym czy wpaść w cierpienie, żeby potem przeżywać to, co my przeżywaliśmy w październiku i później, i to, co będziemy przeżywać za parę dni. Wszyscy zdrowi, mocni, mężczyźni przez tysiąc lat istnienia Kościoła w Polsce nawet nie przypuszczali, że coś takiego się wydarzy, że Polak może być papieżem i że to właśnie dla nas, pochodzących z diecezji krakowskiej, ta łaska specjalna i szczęście, że prawie wszyscy znaliśmy go osobiście, że to był nasz arcybiskup, że wzrastał w tej samej atmosferze, co my, karmił się tą samą kulturą, chodził do tych samych kościołów, czytał te same książki, tych samych bohaterów narodowych i bohaterów rozmaitych dzieł literackich wchłaniał w siebie, żywił się tymi samymi ideałami – że właśnie ten człowiek, wyrosł w naszej atmosferze, atmosferze naszych pięknych pól, lasów i łąk, naszych dymów, pyłów i gazów, naszej chwały i naszego pijaństwa, naszej mocy prężnej i naszej trudnej sytuacji politycznej, stał się sumieniem świata, najwyższym autorytetem moralnym. To jest coś wielkiego i jednocześnie to jest bardzo trudne do pojęcia. Można

powtórzyć słowa Pisma Świętego, że wielu takich było, którzy pragnęli zobaczyć to, co wy widzicie, a nie widzieli, i słyszeć to, co wy słyszycie, a nie słyszeli. Ostatecznie będziemy dziękowali Panu Bogu, że żyjemy w tych czasach, choćby nasze życie było trudne.

Kiedy patrzymy na Papieża, oczywiście cieszą nas jego tryumfy, ale wszyscy z nas, którzy troszeczkę myślą, to wiedzą, jak te jego tryumfy są boleśnie opłacane. Przede wszystkim człowiek, który każdego tygodnia chociaż przez pół dnia musiał zaczerpnąć świeżego powietrza, zrobić kilkadziesiąt czy kilkanaście kilometrów po lasach i górach, bo inaczej by się zadusił w swojej pracy i kancelaryjnej, i duszpasterskiej, teraz raptem został zamknięty w „złotą klatkę”. Kiedy patrzymy na tych wszystkich ludzi, którzy przyjeżdżają tutaj przed wizytą Papieża: z milicji, z ochrony rządu, z Watykanu, świeckich i duchownych, jak oni wytyczają dokładnie centymetry – tu podejdzie, tu stanie, tu się obróci w prawo, tu w lewo, tu pobłogosławi, tędy nie wolno, tu będzie barierka, tu lina, tu helikopter, a tu samochód – wiemy, że nie będzie możliwości, aby mógł sobie przyjść i spokojnie podreptać po Plantach czy przejść z Krakowa do Tyńca, czy pochodzić po Drózkach Kalwaryjskich,

czy z Jaszczurówki od sióstr z Zakopanego przejść na spacer... Koniec... To jest już człowiek, którego strzec musi dziesięć, dwadzieścia tysięcy policji... To jest największa niewola, jaką można sobie wyobrazić. Nie chce mi się wierzyć, żeby on tego nie odczuwał; sam zresztą dawał niejednokrotnie temu wyraz. On, człowiek, który miał trochę inną niewolę, innego gatunku, teraz dosłownie jest zamknięty w „areszcie domowym”. Gdzie się porusza, zawsze jest pod jakimś „parasolem”.

Odejście z Krakowa – na pewno nie było żadnej blagi, kiedy mówił, że z całą radością pozostałby tutaj i że nie myślał o tym, że może zostać w Rzymie. Tak bardzo związany z Polską, związany szczególnie z naszym regionem, z naszymi ludźmi – prawie wszystkich znał, w każdej parafii miał wiele znajomych osób. I teraz nagle wyrwać się gdzieś indziej i być ojcem – doskonale tę swoją rolę aktorską odgrywa, mówię to w jak najbardziej pozytywnym znaczeniu – być ojcem całego świata, tych rzesz całych, które przychodzą, i jednocześnie zdawać sobie sprawę, że te jego prawdziwe „dzieci”, których był ojcem jako biskup krakowski, cieszą się bardzo, ale są osierocone... Zdaje on sobie doskonale sprawę z tego, jak bardzo jest ograniczany, dlatego że komuś się nie podoba, żeby był

tu czy tam, że są rozmaite głosy przeciwko, że wysyłane są, w wiadomo którym imieniu, masy telegramów do Watykanu z protestami przeciwko wizycie, przeciwko wizycie na Śląsku i tak dalej. Motywują to brakiem obstawy, środków albo jeszcze czegoś innego; do tego wszystkiego trzeba robić dobrą minę, ale serce musi się na pewno krajać, że to nie jest takie, jak trzeba.

Poza tym – ten napięty porządek dnia. Nie ma takiej pory, by można było sobie pozwolić na najmniejsze odchylenie. Jak się czyta w gazetach włoskich, ilu ludzi przyjmuje codziennie na audyencji, a i nieraz do wieczora swój czas poświęca, żeby jeszcze kogoś z Polski przyjąć... Meksyk, gdzie stojąc z ludźmi po piętnaście godzin dziennie na upale, na wielkich wysokościach, siedem kilogramów stracił przez te parę dni... Powiedzieli, że za dużo – i dlatego właśnie Watykan ogranicza pewne rzeczy w Polsce, bo mówi, że Papież musi jeszcze trochę pożyć, jak z Polski wróci... Jeśli by zachowywał się jak w Meksyku, to byłby koniec... Zabralibyśmy go do Trzebini na rekolekcje na przyszły raz, ale na to jeszcze za wcześnie, oczywiście...

To też jest cierpienie, proszę na to popatrzeć od tej strony. To wzruszenie, że stanie na swojej ziemi jako Papież, w pełni świadomy tego, że będzie

pierwszym Papieżem Polakiem w Polsce; zostanie w Krakowie, pójdzie na Wawel, stanie przed konfesją, gdzie przed laty (chyba w trzydziestym roku) ksiądz Figlewicz, wikariusz z Wadowic, przywiózł go, małego Karolka, który dopiero co mamusię stracił, żeby zobaczyć, jak się święci oleje na Wawelu, w centrum Polski... I teraz ten sam, żyjący do dziś ksiądz prałat Figlewicz będzie witał tego Karolka, już Papieża, a on zasiądzie na tronie, na którym zasiadał jako arcybiskup krakowski, pójdzie do tego Domu Biskupiego, gdzie będzie spał na łóżku, stojącym wciąż na tym samym miejscu, jak w czasach, gdy był arcybiskupem; rano się obudzi, popatrzy: „Gdzie ja jestem? Boże, biała sutanna wisi, coś się pokręciło...”. I potem trzeba będzie po raz ostatni z samolotu wyciągnąć ręce i powiedzieć: „Do widzenia” czy: „Żegnajcie”... My będziemy wzruszeni, będziemy to przeżywali, ale sądzę, że wzruszenie, które będzie w jego sercu, i ból, który mimo wszystko też będzie przeżywał, to uczucia, których nie da się opisać... Dlatego popatrzmy na tę jego wizytę również od tej strony. To nie będzie tylko radość, machanie i chorągiewki (i dobrze tak komunistom), ale to jest jednocześnie wielki dramat narodu i wielki dramat człowieka. Z całą pewnością.

Dlatego, jeśli chcemy poznać Boga przez nasze cierpienie, to musimy zobaczyć, że cierpienie, które Chrystus za nas ofiarował, to było cierpienie zbawcze, cierpienie, które pokazuje sens naszego cierpienia, które nas podprowadza do zbawienia, do Niego. Z tego powodu to nasze cierpienie nie jest tylko dla naszego zbawienia, ale za wzorem Chrystusa my to cierpienie musimy dawać światu, Kościołowi – w to miejsce, gdzie świat i Kościół najbardziej tego potrzebuje. A teraz, kiedy przygotowujemy się na Zesłanie Ducha Świętego i na przybycie Papieża, to czujemy, że najbardziej tego naszego cierpienia potrzebuje właśnie Papież. Wydaje mi się, że ofiarowanie Panu Bogu naszych niedostatków, umartwień, wyrzeczeń, bólu fizycznego powinno stać się modlitwą: Panie Boże, jeśli to możliwe, przyjmij to po to, żeby właśnie on nie wyczerpał się za prędko; my Ci dajemy nasz ból, nasz wysiłek, żeby jego nie bolało, żeby po zmęczeniu szybko się zregenerował, żeby mógł się nie oszczędzać, dlatego że tutaj bardzo wielu „podpompowuje” go. Ufamy, że Pan Bóg przez tych wszystkich ludzi, którzy w ten sposób postępują, swoje cierpienie ofiarowują w intencji Papieża, sprawia, że jest on zdolny trzy, cztery dni po takim Meksyku na nowo rozpoczynać swoją akcję, aż

prałaci rzymscy pukają się w głowę i mówią: „Jak długo on tak pociągnie?”. Pociągnie, ile będzie potrzeba, jeśli my mu w tym pomożemy, z całą pewnością. I dlatego Papież zawsze tak bardzo liczy na chorych.

Ile razy (ktoś musiałby to policzyć) przez te pół roku wspomniął chorych, nachylił się nad nimi, prosił, błagał o to, żeby ci chorzy mu dopomogli... On wie, że jest silny ich cierpieniem. To będzie nasze zadanie na przyszłość, ale jednocześnie na te rekolekcje; to będzie też nasza dań. Niewykluczone, że jeśli do tego spotkania z chorymi dojdzie, to może przynajmniej część z nas spotka się z nim bezpośrednio i wtedy, nawet jeśli bez słowa, to sercem będziemy mogli te wszystkie uczucia jemu przekazać, a może i powiedzieć wprost, jeśli ktoś się gdzieś tam dopchnie, że my właśnie tutaj to zniesiemy, tylko ty żyj, ile się da, do osiemdziesiątki ciągnij, dopóki świata nie pchniesz na trochę lepsze tory i zło się nie przekręci na dół. I wtedy wypełni się to, co wciąż sobie powtarzamy: nigdy nie jesteśmy złomem odrzuconym na boczny tor, którego wszyscy mają dosyć, lecz jesteśmy tymi, którzy specjalnie są troszkę „przyhamowani”, żeby w ciszy za tych, którzy zbyt dużo biegają, mobilizować swoje siły duchowe i przekazywać nawet te

swoje niedostatki fizyczne po to, żeby one się zamieniły w moc fizyczną dla tego, który rzeczywiście zdolny jest poruszyć cały świat. A że Papieżowi na tym zależy, to też wiadomo, bo kiedy pisaliśmy do niego, że takich ludzi jest całe mnóstwo, to odpisał: „Dziękuję za krzepiące słowa i błogosławie całą rzeszę, która tak myśli”. Więc jeśli tak myślimy, jako ta rzesza, ufajmy, że mamy jego błogosławieństwo do tego naszego cierpienia i do naszej jedności.

Prośmy więc Boga, ażebyśmy wszystkie aspekty naszego cierpienia, naszego życia coraz lepiej poznawali i łączyli to wszystko z Nim, żeby poznawanie Boga się wzmagало i rosła chwała Boża; i jak zapatrzeni w śmieszne rzeczy tu przedstawiane zapomnieliśmy na chwilę o cierpieniach i śmiaлиśmy się radośnie – tak abyśmy zapatrzeni mocno w miłość Bożą nie zapominali może o cierpieniu, bo ono nie da tak na stałe zapomnieć o sobie, ale umieli znaleźć wartości przewyższające to cierpienie. Bo kiedy mamy coś więcej, więcej Boga, więcej miłości, to wtedy zniesiemy nawet najgorszy ból fizyczny, a jeśli mamy mało miłości, to wtedy ten ból nas dobije. O tę miłość módlmy się i dzisiaj, kiedy jeszcze przed nabożeństwem majowym wezwiemy pomocy Ducha Świętego, te intencje

złożmy za chwilę Bogu na patenie i te intencje wzbudzajmy, kiedy będziemy przyjmowali Chrystusa do serca, ufając, że zostaniemy wysłuchani, na chwałę Boga i na nasz pożytek.

KONFERENCJA I

Kiedy zastanawialiśmy się na samym wstępie, po co tu jesteśmy, co Panu Bogu przynosimy, zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że nasze dążenie do prawdy, to znaczy do poznania Pana Boga i sensu tego wszystkiego, co On nam daje: i dobra, i tego, co uważamy za złe, trudne, że nasze doszukiwanie się prawdy o Bogu samym, a potem o Bogu w nas, bez względu na to, czy stan naszego zdrowia jest dobry czy zły, polega na zobaczeniu w tym chwały Bożej. Wiedząc o Bogu możliwie wszystko to, co możemy wiedzieć, praktykując tę wiedzę o Bogu w życiu, poprzez łatwiejsze czy trudniejsze warunki życiowe, dążymy do celu przez Boga nam nakreślonego – do wiecznego zbawienia. Bez dążenia do zbawienia wiecznego, bez myśli o tym, że kiedyś skończy się wszystko to, co trudne i złe, nasze życie nie miałoby sensu.

Widzimy, jak jednoczymy się, wypełniając za-
lecenia Boże i wypełniając myśli, marzenia, mo-
dlitwy Jezusa Chrystusa, aby byli jedno (por.
J 17,21) – jak my się właśnie jednoczymy w tym
naszym odczuciu. Bo kiedy tutaj jesteśmy, choć
każdy po swojemu przeżywa swój los, swoją cho-
robę, cierpienia fizyczne czy duchowe, to jednak
mamy ten wspólny mianownik; my się tutaj już
znamy, wiemy, na jakiej płaszczyźnie się znamy –
nie tylko na tej, że cierpimy, bo wielu ludzi na
świecie jest cierpiących; nie tylko na tej, że jeste-
śmy Polakami, że jesteśmy tutaj skupieni przy Ko-
ściele krakowskim (nawet jeśli niektórzy nie nale-
żą do archidiecezji krakowskiej, to do metropolii
krakowskiej należą), bo takich ludzi też jest wie-
lu, ale jeszcze na tej płaszczyźnie, że my, którzy
zebraliśmy się tutaj w Trzebini na tych rekolek-
cjach, o ile się nie mylę, przyszliśmy na nie do-
browolnie, nikt nas nie pędził, nie było to pod
przymusem czy groźbą, że jeśli tutaj nie przyje-
dziemy, to wyciągną wobec nas takie lub inne
konsekwencje, lecz każdy z nas chciał tutaj przy-
jechać, ażeby jeszcze raz przemyśleć te podstawo-
we problemy swojego życia, istnienia. Ta chęć by-
cia tutaj wobec Jezusa Chrystusa, podczas Mszy
Świętej z namaszczeniem chorych, które otrzyma-

my, przy błogosławieństwie Najświętszym Sakramentem – to jest jeszcze ten dodatkowy czynnik jednoczący nas. Jednoczący nie tylko chorych, ale jednoczący całą naszą „załogę”, bo my w przeciwnym razie byśmy się tutaj nie spotykali, gdyby nie to, że chcemy wszyscy bardziej poszerzyć królestwo Chrystusowe. Ono się poszerza i w duszach ludzi cierpiących, i w duszach tych, którzy w tej chwili tak wielkim cierpieniem fizycznym nie są dotknięci. Zastanawiamy się, szukamy przyczyny i jednocześnie sensu oraz celu, dla których tutaj jesteśmy. Widzimy, że to doskonale pasuje do słów objawienia: poznajemy Pana Boga, wychwalamy Go, nawet poprzez cierpienie, staramy się Go kochać, przez to jednoczymy się, przez to zostajemy ustrzeżeni od zła tysiąckrotnie większego niż nasze zło fizyczne – od zła zwątpienia, zła rozpacz, zła bezsensu, na które cierpi jakże wielu ludzi, nawet zdrowych fizycznie.

Powiedziałem też, że mamy te problemy rozważać trochę na tle św. Stanisława, którego dziewięćsetletnią rocznicę obchodzimy w tym roku. I chciałbym sięgnąć nieco dalej, do tych rzeczy, o których zasadniczo historia za wiele nie mówi, mianowicie – jak wyglądała rodzina św. Stanisława. O niej nie wiemy prawie nic, ale spróbuje-

my nad tym się zastanowić. Wczoraj mówiliśmy, że pierwsze pojęcia o Bogu, o wierze, o szczęściu przysłym przychodziły do nas najczęściej od naszej rodziny. W bardzo niewielu wypadkach dowiedzieliśmy się o tym skądinąd. O rodzinie św. Stanisława, mówiąc szczerze, nie wiemy nic. Tyle, że się urodził w Szczepanowie, około sześćdziesięciu kilometrów na wschód od Krakowa – ta wioska do dzisiaj istnieje, kult św. Stanisława jest tam tak bardzo szerzony, że wiele powołań zakonnych i kapłańskich pochodzi z tej wioski, z tej parafii. Wiemy natomiast dosyć dużo o warunkach historycznych, w jakich urodził się św. Stanisław. Przyszedł na świat około 1030 roku; były to czasy dla Polski bardzo trudne. Nasz kraj rzeczywiście zaistniał po raz pierwszy w historii za księcia Mieszka, potem za króla Bolesława Chrobrego, to był szczyt tego pierwszego okresu państwa polskiego, kiedy Polska już się liczyła jako kraj chrześcijański. Zaraz potem nastąpił Mieszko II i – jak to często bywa po okresach wspaniałości, zwycięstwa i tryumfu – raptem nadeszła klęska. Klęska chrześcijaństwa. Pogaństwo na nowo podniosło głowę. Można powiedzieć, że obalone bożki upomniały się o swoje prawa. Poodpadały zdobyte przez Bolesława od Polski ziemie, państwo poszło w roz-

sypkę, wydawało się, że całe dzieło pierwszych Piastów się rozleci.

Patrząc na to, widzimy, że i dzisiaj podobne sytuacje się dzieją (może nie tak powszechnie, ale dzieją się, często w mniejszych środowiskach), że się wybuduje coś pięknego, wspaniałego – i raptem to coś się całkowicie rozlatuje. I potem są ludzie, którzy próbują tego wszystkiego bronić. Patrzymy na dzisiejsze rodziny. Wiele rodzin jest pięknych, trzymających się, ale to, co się dzieje u nas w państwie i na całym świecie, sprawia, że bardzo dużo ludzi traci wiarę, traci poczucie sensu, traci ten schemat wartości, który przedtem był tak dobrze zapisany w sercu każdego człowieka – jak się zachowywało w stosunku do starszych, w stosunku do prawa, do władzy, do obowiązków swoich. Pewnie, że bywało lepiej lub gorzej, człowiek nie zawsze był grzeczny, nie zawsze robił, jak trzeba, ale porządku było chyba więcej, a zła ludzie się wstydzieli. Natomiast dzisiaj może miejscami jest lepiej, ale zła się ludzie za bardzo nie wstydzą, złem się często chełpią, szczycą się łamaniem prawa. Ten bałagan jest bardzo wielki, odpadanie od wiary...

Na to młodzież nieraz zwraca uwagę: co cię dzisiaj najbardziej peszy w życiu, z czego jesteś niezadowolony? Że tak wielu starszych ludzi prze-

staje wierzyć albo wierzy byle jak. Starsi narzekają na młodzież, a młodzież narzeka na starszych. Gdzieś w tym stoją rodziny, nieraz jak oazy na pustyni, które próbują za wszelką cenę ratować to, co piękne, to, co wielkie. I często z tych właśnie rodzin dobrych powstają dobre dzieci, dobra młodzież, powstają powołania kapłańskie i zakonne, a nieraz zdarza się inaczej, że właśnie ze złej rodziny, jak gdyby prawem jakiegoś kontrastu, jak gdyby przez jakąś przekorę, wyrasta bardzo dobry chłopiec, bardzo dobra dziewczyna, człowiek uodporniony na trudności, na kłopoty, walczący i wynagradzający niejako swoją postawą to zło, które zostało sprowokowane, spowodowane przez jego rodzinę. Ale to są raczej wyjątki. Na ogół się mówi: jaka matka – taka natka, jaki ojciec – taki syn, jakie drzewo – taki klin.

Można się spodziewać, w duchu tego rozważania, że rodzina św. Stanisława dała małemu Staszekowi dobre wychowanie. Chłopak musiał być inteligentny, skoro w tamtych czasach poszedł do jakiejś szkoły wyższej, prawdopodobnie w Belgii nawet studiował, zanim wrócił do Krakowa. Przyglądał się temu, co się dzieje, będąc wychowywany jako dziecko, jako młody chłopiec na tym wielkim zakręcie ówczesnych dziejów. W 1039 roku spro-

wadzono Kazimierza Odnowiciela, Piasta, który wcześniej był nad Renem w Kolonii, w opactwie benedyktyńskim, i on, opierając się na tych ludziach, którym zależało na dobru powstającego państwa polskiego, rozpoczął nową akcję mającą na celu przywrócenie dawnej świetności temu wszystkiemu, co zbudował Bolesław, a co po nim się rozleciało. Oczywiście, nie było wtedy telewizji, gazet, książek; wiadomości nie dolatywały tak prędko jak dziś, ale jakieś środki komunikacji były, a to wszystko, co się działo naokoło, uderzało w poszczególne rodziny, uderzało w poszczególne grody czy pierwsze wioski. I oto te wszystkie trudności, cała ta zawierucha, całe poszukiwanie prawdy, poszukiwanie niezależności także i politycznej, całe odszukiwanie na nowo religii, odszukiwanie na nowo Boga w tym zamęcie – to wszystko musiało się obijać o poszczególne rodziny, o rodzinę Stanisława. My absolutnie nie wiemy, jak to się praktycznie, konkretnie odbywało, ale widzimy efekty. Z tych wielkich burz wyrósł bardzo mocny człowiek. Dlatego rzucamy zasłonę na tamte sprawy. Bo jeśli ktoś umie, może napisać o tym książkę, opartą na pewnych domysłach, nawet bardzo ciekawą, ale my musimy się przerzucić na naszą sytuację.

Popatrzmy najpierw na nasze rodziny, w których się wychowywaliśmy. Na pewno naszym rodzinom nader dużo zawdzięczamy, widzimy w nich bardzo wiele blasków, jesteśmy tutaj rozpiętościowo ogromnie różni, od bardzo młodych aż do bardzo wczesnie urodzonych, których rodzice pamiętają nawet niezwykle dawne czasy. Najpierw popatrzmy na blaski, na to, co było dobrego, na to, co do dzisiaj jeszcze pamiętamy i ze łzą wzruszenia wspominamy. To całe dobro, które pozwoliło nam przetrwać przy Bogu aż do dnia dzisiejszego, dzięki temu, że w tych czasach rozmaitych, trudnych, czasach zaborów, okupacji, ciężkich czasach międzywojennych, nie najłatwiejszych też dzisiejszych, w rodzinach były siły, które uczyły nas wytrwania, miłości, uczyły nas jakiegoś kontaktowania się z Bogiem i nietracenia ducha wtedy, kiedy relacja z Bogiem i człowiekiem jak gdyby się rwała.

Jednocześnie, jeżeli mamy być obiektywni – nie po to, aby kogoś zniesławiać, nawet w swojej własnej duszy, żeby wyciągać zastarzałe żale czy pretensje – popatrzmy też na to, co trudne było w naszej rodzinie. Może nieraz mamy jakiś żal, którego za bardzo nie chcemy objawiać nawet przed samym sobą, ale zdajemy sobie sprawę, że czasem stan naszego zdrowia, taki, jaki jest dzisiaj,

wynika z jakiegoś niedopatrzania czy wprost jakiegoś zła, które było; może to, że za mało wierzymy i za mało ufamy, było spowodowane tym, że na początku nie zwrócono na nas takiej uwagi, jak potrzeba, że może i dzisiaj nie zawsze jesteśmy rozumiani; i tak słuchamy, kiwając głową, że tu czy tam były kłopoty, że to się gdzieś obijało, że była reakcja pogaństwa, że było niezrozumienie wielkich dążeń narodowych, społecznych... Mówimy: My nie potrzebujemy historii, my tę historię odczuwamy na własnej skórze, we własnym domu, wśród najbliższych nam ludzi, którzy jakże często, niestety, nie rozumieją wiele rzeczy i przyczyniają nam więcej troski, kłopotu i cierpienia.

Dlaczego patrzę na obie strony tego zagadnienia? Dlatego że jeżeli tutaj mamy stanąć przed Bogiem, to przynajmniej wobec Niego samego musimy być całkowicie szczerzy. Drugiemu człowiekowi możemy czegoś nie powiedzieć, czasem nie warto wszystkiego mówić, nie warto... Dobrze jest mieć jakiś własny „kątek” w duszy, który jest tylko mój, do którego nikt nie zagląda, ale jeśli tego „kątku” nie otworzymy przed Panem Bogiem, to możemy się w tym „kątku” udusić, możemy stracić ducha, możemy zupełnie stracić sens istnienia. Dlatego wobec Pana Boga – czy na Mszy Świętej,

czy w jakimś cichym rozważaniu, czy na wieczornym nabożeństwie, czy kiedy mamy chwilę spokoju w ogrodzie lub w naszym pokoju, to warto wszystko Panu Bogu powiedzieć: Panie Boże, nie wiem, jak było ze św. Stanisławem, wiem, że dzisiaj jego święte imię czcimy; nie wiem, jak było z Bolesławem Chrobrym; nie wiem nawet, jak było w rodzinie naszego Papieża Jana Pawła II (pamiętamy, że dosyć szybko ta rodzina się rozproszyła), ale wiem doskonale, jak było i jest w mojej rodzinie. I doskonale zdaję sobie sprawę, na ile te warunki i stosunki w mojej rodzinie dopomagają mi do tego, żebym dzisiaj się Ciebie trzymał, a na ile są dla mnie bardzo wielką i poważną przeszkodą, dlatego proszę Cię z całego serca, za przyczyną wszystkich świętych, wielkich patronów, tych ludzi, którym się udało, tych, którzy przetrwali, tych, którzy męczeństwo nawet znieśli, dopomóż mi, aby to, co w tej chwili przeżywam, to, co dobre, co piękne, co wzniosłe w moim domu, utrzymało się, nie popsuło się; żeby to, co jest dobre, rozbudzało dobro we mnie i żebym ja, mimo mojej słabości fizycznej, mógł promieniować tym dobrem naokoło, a jeśli jest coś ciężkiego, jeśli mi się wydaje, że stoję na granicy moich możliwości, mojej wytrzymałości, tak że tutaj przychodzę – ow-

szem, ta Trzebinia jest takim punktem jasnym jak promyk słońca w deszczowy i ponury dzień – daj mi taką siłę, żebym wytrzymał, żebym wrócił mocniejszy.

Pan Jezus, kiedy był w Ogrójcu, miał momenty i bardzo wielkiej mocy, męstwa, i bardzo wielkiej bojaźni i lęku. Jako człowiek cierpiał, jako człowiek krwią się pocił, jako człowiek wołał: „Ojcze, oddal ode Mnie ten kielich” (por. Łk 22,42). To samo i nam nieraz może się na usta cisnąć: Tu, Panie Boże, dobrze te parę dni przeżyć, ale potem wrócę znów w swoje bagienko codzienne. Ale potem przyszedł anioł z nieba, pocieszył Go i Chrystus wyszedł umocniony, tak że przeciwnicy, kiedy przyszli i stanęli przed Nim, kiedy powiedzieli, że szukają Jezusa Nazarejczyka, padli przed Nim na twarz (por. J 18,6). Wyszedł mocny jak granit. Oczywiście, bardzo daleko nam do Chrystusa i chyba nie mamy nawet takich aspiracji, żeby być mocni jak granit, ale zdajemy sobie sprawę, że łaska Boża, która jest „rozchlapana” po całym świecie jak kałuże po deszczu, nie musi nas ominąć, że ona jest i nam przeznaczona, że umocnienie jest i nam dane, że my nie musimy być tymi wiecznie narzekającymi, wiecznie marudzącymi, że uśmiech na naszych twarzach może gościć nie tyl-

ko wtedy, kiedy mamy tutaj odrobinę czegoś rozrywkowego, ale że ten uśmiech może być naszym stałym, jeśli tak można powiedzieć, czynnikiem, który w nas tkwi. I mówimy to z całym poczuciem odpowiedzialności, że my, ludzie cierpiący, możemy być nieraz bardzo wielką pomocą tym zaganianym, zalatanym, którzy w rozmowie z nami uczą się przyhamowania, uczą się cierpliwości, zawierzenia Panu Bogu, o co tak trudno w świecie, uczą się znoszenia cierpienia, które przyjdzie na każdego, tak jak my to znosimy.

I tak wyszliśmy od jedności, od rodziny, która nas kształtuje, a kończymy to rozważanie na tym, że to my mamy kształtować. Jeśli każdy z nas wybierze z tych myśli, które tutaj rzuciliśmy, to, co jemu będzie najbardziej pasowało, co będzie najbardziej odpowiednie, i potem, ofiarowawszy to wszystko Panu Bogu podczas Mszy Świętej, będzie próbował to praktykować w życiu, będzie prosił Boga przede wszystkim o pokój wewnętrzny, o moc, o umiejętność oddziaływania na drugiego człowieka, o niedenerwowanie się i nieniecierpliwienie, bez względu na to, czy mu coś dokucza, czy może ktoś mu dokucza, jest zdenerwowany i złośliwy, to zrobi bardzo, bardzo wiele. Bądźmy tym czynnikiem jednoczącym. Niech przy naszym

wózku czy przy naszym łóżku gromadzą się ludzie nie z konieczności, nie dlatego, że muszą, że trzeba coś podać, pomóc i tak dalej, ale niech przychodzą ludzie, którzy poczują, że do nas warto przyjść, niech po prostu zwyczajnie zobaczą w nas Pana Jezusa cierpiącego. Cierpiącego, to prawda, ale dążącego do zmartwychwstania, do pokoju, do radości. Wtedy pomożemy bardzo nie tylko Papieżowi w Rzymie, ale też tak konkretnie właśnie najbliższym nam ludziom – i wtedy okaże się praktyczna, namacalna wartość naszego cierpienia. Wiemy, że nieraz spośród grona studentów czy studentek, którzy tutaj przyjeżdżają, słyszeliśmy głosy: „Już potem, po Trzebini, miałam (czy miałem) kontakt z tymi ludźmi, z tym człowiekiem, to pomogło odnaleźć mi sens życia”. To, że my straciliśmy władzę w rękach czy w nogach, dopomogło do uratowania jakiegoś człowieka. Gdyby każdy z nas uratował przynajmniej jednego człowieka, to już jesteśmy wystarczająco apostołami. Niech nam Pan Bóg to da, a może pomożemy większej ilości ludzi. Wtedy nasze cierpienie własne nie będzie aż tak wielkie, ono będzie naprawdę złożone tutaj na ołtarzu i w Chrystusie nabierze pełnej wartości.